

DAWID JURASZEK

KREW I KOŚĆ

DAWID JURASZEK

KREW I KOŚĆ

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2010

Korekta i redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Dawid Juraszek 2014

Okładka Copyright © Dawid Juraszek 2014

Utwór bezpłatny,

z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: www.marketing@rw2010

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.p

Wnętrze palankinu cuchnęło niewiele mniej niżli ciasne i mroczne zaułki Lintao. Pod chyżymi stopami półnagich tragarzy chlupotały kałuże, przechodnie, złorzecząc, usuwali się pod wilgotne ściany, w okienka palankinu zaglądały obwieszone szmatami sznury, zbutwiałe schody, kruszejące na powietrzu kurczaki i psy.

Na głównych ulicach miasta połyskiwały dachy o wywiniętych ku górze krawędziach, wiatr roznosił woń straganów i jadłodajni, pośród smagłych lic Chińczyków jaśniały oblicza cudzoziemców.

Ale jadąc głównymi ulicami, Stanisław nie zdążyłby na Rumaka Orientu.

Jeden z tragarzy pośliznął się. Dach palankinu wyrznął o drabinę, pasażer przebił łokciem cienką ściankę.

– Szelmy chrome!

Zamiarował dorzucić wyzwiska po chińsku, które dywulgował mu tłumacz, kiedy czekali byli na przybycie deputacji, lecz tragarze odzyskali już równowagę. W półmrok zaułków wdarł się blask, gorący wiatr wywiał z palankinu kwaśne odory, rozbrzmiały dzwonki i wielojęzyczne nawoływania. Dworzec!

Tragarze stanęli w cieniu spadzistych dachów o prostych jak strzała okapach. Wskoczywszy z ulgą na zewnątrz, Stanisław wysupłał z trzосу cesarski kwit zbożowy. Wiedział, że słono przepłaca, ale w najbliższej przyszłości nie planował powrotu do Chin. Niech mają.

Na widok tłumu w drzwiach ceglanego dworca poczuł, że opada zeń napięcie. Oprócz czubów i kontuszek Polaków widać było żaboty Francuzów, turbany Indian, galabije Turczynów, hanboki Koreanów, szerokie kapelusze Hiszpanów, a nawet jedną rodzinę chińską, niezwykle ciekawą świata. Młodzian lubił skrzęt i gwar dworców kolejowych. Już wiedział, że zdążył, że choć zegary wskazywały południe – czas odjazdu – pociąg zaczeka, aż spóźnione tłumy wgramolą się do wagonów. Odwrócił się, by rzucić jeszcze raz okiem na ostatnie miasto przed granicą Cesarstwa Chin z Turkiestanem – wasalem Rzeczypospolitej.

Ale zza budynku dworca dochodziło już sapanie lokomotywy, pomieszane z brzękiem dzwonków i wołaniem konduktorów, cierpliwie ponagląjących opieszających pasażerów. Stanisław ruszył ku peronom. Raz czy dwa o mało nie postradał w ciżbie torby, lecz wreszcie stanął o krok od zielonych brył wagonów. Wzdłuż torów snuły się strzepy pary, w którą opływała lokomotywa, rwąca się do drogi na końcu peronu. Skoczywszy w drzwi, z miejsca nadział się na konduktora.

– Do Kijowa – rzucił. Żółty otok czapki poruszył się w górę i w dół. Stanisław sięgnął do trzосу po czerwone złote i wnet szedł już za mężczyzną wąskim korytarzem.

– Kabina dwuosobowy, jeden łóżko zajęty – wyjaśnił łamaną polszczyzną konduktor, otwierając uczynnie drzwi. – Miłej podróży!

Po kapeluszu i zielonym fraku na haczyku Stanisław od razu poznał, że za współpasażera ma Angielczyka. Ruszył w lewo, gdzie pod zamykaną półką i rzędkiem wieszaków znajdowało się jego łóżko. Z ulgą zdjął czapkę, odwiesił kontuszkę i został w lekkim jedwabnym żupaniku. Zapuściłem się, pomyślał, patrząc w lustro. Pod tym samym słońcem Wschodu, które spiekło mu twarz, czub wypłowiał żałosnie, zaś niedostatek dbałości sprawił, że skronie pokrył krótki włos. Obiecawszy sobie solennie, że w Kijowie każe porządnie się podgolić, wyjrzał przez okno.

Rwetes cichł, ostatni pasażerowie zmierzali ku drżącemu z ekscytacji Rumakowi Orientu. Kolejarze i bagażowi zwijali się jak w ukropie. Wreszcie na peronie zostali tylko krewni, przyjaciele i towarzysze, machający podróżnym na pożegnanie. Rozległ się gwizd i sapanie lokomotywy, wagony szarpnęły, dworzec jął odpływać w tył.

Młodzian zasepił się. Nie dlatego że jemu nikt nie pomachał na pożegnanie; dlatego że w chłodnym Kijowie nikt nie pomacha mu na powitanie. Wieści od księdza Łepkiego nie pozostawiały nadziei co do stanu zdrowia ojca. Za rok dekada będzie, jak odeszła matka, dwa lata temu brat zginął od Tatarów, teraz umiera ojciec. Kiedy na mnie przyjdzie pora? – pomyślał gorzko.

Zamknawszy okno, poszedł do wagonu jadłodajnego. Zła wiadomość wyгнаła go była ze zbytelnego chińskiego zajazdu, zanim świta magnata zdążyła zasiąść do posiłku z deputacją kupców. W zamieszaniu od rana niczego nie przegryzł, a teraz kiszki grały mu tureckiego marsza.

Większość pasażerów widocznie nie myślała jeszcze o wiwendzie, bo wagon świecił pustkami. Młodzian usiadł przy ławie po cieniściej stronie, pośród ciepłych barw jedwabnych obić. Zamówiwszy kapłona z farszem rodzynekowym i kaszą, popijał orzechówkę z kusztyczka i patrzył na sunące w tył opasłe wzgórza. Kiedy nasycił głód, a wagon jął się zapełniać, wrócił do kabiny.

Angielczyk dołączył już do fraka i kapelusza.

– *Bonjour, monsieur* – rzucił Stanisław z uśmiechem.

– Dzień dybry waszmość – odparł korpulentny mężczyzna z mocnym akcentem i lekkim ukłonem.

– Stanisław Orzechowski, rodem z Kijowa. – Młodzian uśmiechnął się jeszcze szerzej i odklonił. – Z kim mam honor?

– Ja jestem John Bull z London. – Wyciągnął do Stanisława rękę. Ten uściśnął ją energicznie. – Dokąd podróżować waszmość?

– Do samego Kijowa. A waćpan?

– Do Kijów i potem do Kraków.

– W interesach czy dla wojażu?

– W interesach. Ja byłem tam dwa razy już, w Warszawa też. Piękny miasta! – Twarz Johna rozjaśnił rozmarzony uśmiech. – I atmosfera! Jak w Londyn zanim Żaby przyjsć ze swoje duma i ponurość – spochmurniał. – Uczyć się sarmacki teraz, żeby pracować tu. – Znów się uśmiechnął. – Może my zjeść razem, waszmość? Porozmawiać?

Stanisław czuł jeszcze w żołądku kapłona, ale nie wypadało spostonować sympatycznego Angielczyka.

– Wprawdzie już jadłem, ale gdy tak zacna persona prosi, *grubianitas* byłoby odmawiać.

Jadłodajnia zdażyła się już wypełnić. Z trudem precyzyjnie się ku ostatniej wolnej ławie. Angielczyk, studiując kartę, zdawał się zerkać na Stanisława, chyba aby ten, jako tuziemiec, coś doradził; młodzian udał jednak, że tego nie widzi, i delektował się wonią lipca, którego szklanice mu przyniesiono. Ale spod oka obserwował Johna ciekawie.

Szaty Angielczyka wskazywały, że należy on do niepokodzonych z francuską modą tradycjonalistów, którzy umknęli przed upodleniem i szykanami na kontynent. Przegrane powstania nie złamały ducha w tym przedsiębiorczym narodzie. Ponoć mieli niegdyś nawet coś na kształt Sejmu, czym zjednywali sobie powszechną kompasję Polaków.

John zdecydował się wreszcie na gramatkę. Kiedy przyniesiono miskę białej spienionej polewki piwnej, wyglądał na skonsternowanego, po kilku łyżkach siorbał już jednak w najlepsze, nie omieszkując przy tym szlifować „sarmackiego”.

– To jak wasz wielki poet mówić – mlaskał – chodzić o to, żeby język giętki powiedzieć wszystko, co myśleć głowa. Ja chcieć pobrać się z Polka i zamieszkać w Kraków albo Warszawa. Kraj bogaty, kobiety piękny, klimat dobry, kuchnia delicje i to wszystko jak marzenie. Ale ja musieć bogaty najpierw. A żeby bogaty, musieć pracować nie w gospoda przy mycie naczyń. Dobra praca potrzebuje, żeby dobrze mówić. Ja nie jestem młody człowiek – zaśmiał się – i lepiej nie postponować tego już, bo będzie późno. Przeto waszmość poprawić mnie gdy error...

– Postponować – przerwał Stanisław – to po polsku zlekceważyć, wzgardzić, a nie odkładać na później, jak po waszemu.

John skinął głową, lecz korektura chyba nie poszła mu w smak. Chwilę przeżuwał słowa Stanisława i gruzła twarogu. Wyjął nawet dykcjonarzyk angielsko-polski, ale starczyło mu taktu, by doń nie zajrzeć.

Dyskurs nie kleił się. Trudno było nie zauważyć, że Angielczyk rozmawia nie tyle po to, by wymieniać myśli, ile by upajać się brzmieniem polskiej mowy we własnych ustach. Pytał Stanisława o wszystko, poczynając od kuchni przez pobyt w Chinach po poglądy na działania Francuzów w Indii, ale przy pierwszej pauzie młodziana na oddech podejmował własne zmagania z obcym słownictwem, gramatyką i wymową. Stanisław znosił to cierpliwie. Podróżując po Azji, zdążył już przywyknąć, że adepci polszczyzny na widok rodowitego Polaka śpieszą wykorzystać sposobność rozmowy. Sam liznął języków, choć bez większych sukcesów, miał więc dla Johna zrozumienie. Moczył usta w miodzie, kiwał głową, rzucał słowo czy zdanie, ale oczyma błędził po zaokiennych wzgórzach, myślami zaś po rodzinnym Kijowie.

Zachęcony przykładem Polaka Angielczyk również zamówił miód. Po misce gramatki mocny trunek rychło poszedł mu do głowy, łamana polszczyzna poczęła się chwiać. Nim runęła kompletnie, Stanisław zaproponował powrót do kabiny. Tam wymówił się pracą i zasłoniwszy numer Merkuriusza dla niepoznaki dokumentami, odseparował się od męczącego współpasażera. Przynajmniej na chwilę. Bo nie wątpił, że kiedy tylko miód wywietrzeje Johnowi z głowy, ten na nowo poczuje inklinację do nauki „sarmackiego”.

To pustynie, to lasy, to step.

Raz zieleń, raz szarość, to znów rudość.

Niebotyczne szczyty i leniwe wzgórza.

Iskrzące się rozległe wody lub ciemniejące smugi borów.

Obozy wojłokowych namiotów i mury kamiennych miast.

Pasterze pośród stad, chłopci na polach i poletkach, jeźdźcy na gościńcach.

Skóra ciemna i jasna, oczy skośne i okrągłe...

Rumak Orientu mknął gładko przez zmieniającą się Azję. I tylko polszczyzna Johna Bulla pozostawała wciąż niezmiennie łamana.

Przez powieki Stanisława przebiło się światło poranka, w uszy wwierciły się dzwonki, świst lokomotywy i wołania konduktorów:

– Kiiijóóów!

Pożegnał się z nużącym Angielczykiem najwylewniej jak potrafił. Pochwaliwszy jego zdolności językowe i złożywszy życzenia, ruszył przez rodzinne miasto. Miał do przejścia spory dystans, ale z rozmysłem nie wziął kolaski. Chciał słyszeć ojczystą mowę, widzieć znajome stroje, słyszeć stukot kopyt i turkot kół, czuć energię studentów pod Katolicką Akademią Mohylańską, dać się porwać widokowi ołowianych wód Dniepru, zachwycić ogromem i przepychem pałaców Rzewuskich, Kaczkowskich, Czajkowskich, Pasków, Chodzków, Mickiewiczów i Sienkiewiczów. I choć tak się śpieszył, by zdążyć na Rumaka Orientu, to teraz coś powściągało jego kroki. Bał się, czy na miejscu zostanie ojca wciąż w zdrowiu. A chociaż przy życiu.

Na schodach kamienicy przejął go niezwykajny chłód. Drżąc, pokonywał stopień za stopniem, jakby walcząc z przemożnym ciężarem. Wreszcie stanął u drzwi. Nie zdążył ich otworzyć, kiedy uchyliły się, a przed Stanisławem wyrósł zwałisty posiwiały brodacz – ksiądz Łepki.

– Oczekiwałem cię, chłopcze – rzekł miękko i wyciągnął ręce. A młodzian zamknął oczy i ścisnął go za kolana.

Przez otwarte okno widać było cebulaste kopuły kościoła. Ojciec leżał jeszcze na łóżku, ale ręce księżych sług wygładziły już pościel, godnie ułożyły wykrzywione członki zmarłego i ustawiły obok obraz Matki Boskiej, krzyż oraz gromnicę. Na wychudłej, pomarszczonej fizjonomii Rostysława Orzechowskiego malował się spokój, jakiego Stanisław nigdy u ojca nie widział. Zawsze chmurny mężczyzna teraz zdawał się pogodzony z tym, z czym zawsze w głębi duszy się był wadził. Uklękawszy, Stanisław zmówił modlitwę.

– Matkę zabrała ci choroba – odezwał się cicho ksiądz – brata Tatarzyn, teraz ojca starość. Tyś ostatni Orzechowski w rodzie...

Stanisław domyślał się, o co idzie. W wożach i interesach zaniechał świętej powinności – przedłużenia rodu. Nie czuł przemożnej chęci do żeniaczki, lecz może właśnie nadeszła pora, by się ustatkować?

– Rodzinęś zaniedbał, prywatnie się oddawszy – podjął ksiądz. Stanisław skinął smutnie głową. – Twój świętej pamięci ojciec mówił mi nieraz, że chciałby, abyś podjął dzieło jego życia. Tyś jednak nigdy nie stał u jego boku. Dobrze w młode lata chłopcu trochę się przewietrzyć, obejrzeć się na świecie, między ludźmi przetrzeć. Lecz tobie wojaże zawróciły w głowie, dalekie krainy przyćmiły umysł – głos księdza stwardniał. – Goniąc za własnymi celami, zapomniałeś o powinnościach wobec innych. Teraz to się odmieni! Rzekę ci to!

Młodzian podniósł zdziwiony wzrok. Ksiądz postawą i obliczem nie przypominał już duchownego, lecz wojskowego, nieomal hetmana, wiodącego ludzi do walki.

– To się odmieni – powtórzył ksiądz i skinął, by podążyli do sąsiedniej izby. Tam padł w fotel i pogrążył się w dłuższej zadumie. Młodzieniec przysiadł na zydlu, nie wiedząc, co myśleć. Przy starym księdzu tracił fantazję. Od dzieciństwa wiedział o nabożnej czci, z jaką odnosił się doń ojciec. Nawet gdyby nie miał w pamięci pochylonej głowy rodzica, sama aura powagi otaczająca duchownego wystarczyłaby, by ani drgnął, czekając, co nastąpi.

Ksiądz podniósł wreszcie wzrok.

– Spada oto na mnie powinność, która twemu ojcu bardziej by przynależała. – Uśmiechnął się smutnie. – Skoro taka wola Boża, wypełnię ją z radością. Gdyż nie może być nic lepszego, niżli sprowadzić młodzieńca na dobrą drogę. – Urwał. – Wiesz, czym zajmował się twój ojciec?

Stanisław powściągnął zdziwienie.

– Był drabem miejskim.

– Ha! – zakrzyknął ksiądz z nagłym wigorem. – Był drabem miejskim, był. Porządku w mieście pilnował, a i o swoich dbał. A teraz powiedz mi, młodzianku, kim tyś jest?

Stanisław nie zdążył jeszcze odzyskać fantazji, a już znów ją utracił. Nie tak imaginował sobie powrót do Kijowa. Oto ksiądz nie pozwalał mu należycie pożegnać ojca, przerywał modlitwę i zadawał osobliwe pytania, zakłócając spokój zmarłego. Zagryzł jednak zęby. To był ksiądz. Stary ksiądz. Ksiądz, którego rodzina darzyła rewerencją od lat.

– Jestem – rzekł powoli i dobitnie – Stanisław Orzechowski, Polak, Kijowianin!

Ksiądz pokiwał milcząco głową. Jeszcze przed chwilą ożywiony, teraz znów zdawał się odpływać we własne myśli. Stanisław wytrzymał jedną chwilę, wytrzymał drugą, wreszcie poruszył się nerwowo na zydlu.

– Ojcze – powiedział najspokojniej jak umiał – wybacz, jeśli w czym uchybiam, ale trzeba mi do ojca...

– Wszystkim się zajmiemy. – Ksiądz machnął ręką.

– Kto zajmie się lepiej niżli rodowity syn? Iść mi trzeba. Dziękuję, ojcze, za...

– Siedź – warknął nagle ksiądz. W jego głosie znów zabrzmiała iście hetmańska władczość. Stanisław znieruchomiał, ale serce waliło mu jak młotem. Zacisnąwszy wargi, postanowił, że jeszcze zdzierży.

– Twój ojciec – podjął ksiądz nieco spokojniej – był drabem miejskim. Nie czuł jednak, kim jest naprawdę. Pewnego razu poczuł i pojął, co mu czynić należy. Chciał, byś i ty poczuł to i pojął. Ale twoja matka myślała inaczej i chroniła cię przed jego wpływem. A kiedy umarła, tyś miał własne życie, ciebie inni nie obchodzili już *totaliter*. – Głos księdza rozbrzmiał przyganą. Stanisław chciał się zachnąć, ale zmitygował się. – Gdybyś wiedział, ile gorzkich łez kosztowała ojca każda mila twych wojaży, nie wyruszyłbyś na zaden. Zostałbyś w Kijowie. I pomagał swoim.

Mimo całej złości i konfuzji Stanisław czuł, że za słowami księdza kryje się coś więcej. Tu nie chodziło o przedłużenie rodu, o ustatkowanie się u boku żony. I czuł też, że nie chce czekać, aż lawina słów odsłoni ich prawdziwą treść.

– Ojczy – rzekł, powściągając zniecierpliwienie – od dawna darzę cię należnym respektem. Wolałbym jednak nie czekać dłużej na ujawnienie sedna sprawy. Zechciej mi zatem dywulgować, w czym rzecz.

Ksiądz przez chwilę patrzył na młodziana w skupieniu. Wreszcie pokiwał głową.

– Chwat z ciebie i słusznie prawisz. Trzeba mi gadać szczerze, po co takie omawiania. Dobrze więc. – Przymrużył powieki. – Zali wiesz, co znaczy *gente Ruthenus, natione Polonus*?

Stanisław o mało nie wyrócił oczyma. Jeśli to nie były kolejne omawiania, to co?

– Z pochodzenia Rusin – rzekł powoli – z narodowości Polak...

– *O tempora, o mores* – sapnął ksiądz. – Za moich czasów młodzik przetłumaczyłby takową sentencję szybciej, niżli dobyłby szabli! A wiesz, co owe słowa znaczą?

– Co mają znaczyć – burknął Stanisław. – To, co rzekłem.

– Ha. A wiesz, czyje one?

Młodzian wzruszył ramionami.

– A szkoda. Bo to słowa twego imiennika, lubo sprzed wielu lat. Z XVI wieku.

Jeśli ksiądz myślał, że zaskoczy Stanisława, to się omylił. Młodzian pokiwał tylko smętnie głową. Poczł nagle, że fatygi go zmogły. Dni spędzone w pociągu, napięcie, skon ojca, teraz dziwna gadanina księdza...

– Chłopcze, tu idzie o ciebie! – podjął ksiądz w napięciu. – Pojmujesz? O ciebie! W Stanisławie coś zawrzało.

– Nie pojmuję! – powiedział głośnie, niżli powinien. – Jak mam pojąć, skoro wciąż nie dochodzisz, ojczy, do sedna!

– To sedno w tobie tkwi! – zawołał ksiądz gromko. – W tobie! Ta sentencja o tobie mówi! Pojmujesz?

Stanisław otwierał już usta, kiedy coś go tknęło. Nie umknęło to uwadze księdza.

– Rzekłeś, żeś Polak – zmarszczył brwi – a to nieprawda. Nie jesteś Lachem. Jesteś Rusinem, Ukraińcem, Kozakiem!

Stanisław spuścił wzrok. Z mroków niepamięci wróciły doń stare mapy, bitwy, o których słyszał i czytał, na wpół zapomniane nazwiska, dumne i dzikie postaci na obrazach... Lecz wnet się otrząsnąwszy, spojrział bystro na księdza.

– To bardzo grzecznie, ale cóż z tego? W Rzeczypospolitej znaleźć można multum narodowości. Nie wiedziałem, że sam mam ruskie czy tam kozackie korzenie. Ale jak to się ma do mego ojca, do jakowegoś mego sedna?

Ksiądz przez chwilę wypełniał izbę ciężką ciszą.

– Bóg klemencję okazał Rostysławowi – szepnął wreszcie – że nie dał mu dożyć tej rozmowy...

Tego było już dla Stanisława zbyt wiele. Zerwał się, aż nogi zydła trzasnęły o podłogę, i wyprężył jak struna.

– Nie wiem, o co księdzu idzie, i nie zajmuje mnie to. Czas na mnie. Szczęść Boże!

Ruszał ku drzwiom, kiedy doszedł go dziwnie słaby głos:

– Nie unoś się... Jeślim cię uraził, proszę o wybaczenie...

Stanisław spojrział księdzu prosto w oczy. Było w nich tyle zmęczenia i rezygnacji, że gniew odstąpił go od razu. Bez słowa wrócił na zydel.

Ksiądz dłuższą chwilę wodził dłońmi po twarzy. Kiedy oderwał je wreszcie, oczy miał czerwone i wilgotne.

– Tyle lat – powiedział cicho. – Tylu dobrych mołojców...

Znów umilkł, ale tym razem Stanisław nie niecierpliwił się. Patrzył na postarzałą nagle postać księdza i deliberował, czemu tego obcego człowieka obchodzą ruskie korzenie niewidzianego od lat młodziana.

I czy jego samego powinny obchodzić?

Gente Ruthenus, natione Polonus.

Sentencja akuratnie oddawała status wielu mieszkańców ogromnego obszaru Rzplitej. Obywateli Gdańska, Bakczysaraju czy Konstantynopola różnił głównie kolor skóry i rysy twarzy, bo kontuszki, a i czuby często wielu takie same nosiło, i po polsku starało się nauczyć. Co drugi rzekłby, że on z pochodzenia Tatarzyn, Ormianin, Żyd, Wołoch, Serb, Bułgar, Turczyn, Prusak, Węgrzyn czy inny Francuz, Niemiec albo Angielczyk, a z narodowości Polak. Cóż więc z tego, że on z pochodzenia Rusin? No cóż?

– Kozaków spotkasz dziś wszędzie – rozbrzmiał chrapliwy szept księdza. Zdało się, że przybyło mu nagle ze dwa tuziny lat. – W całej Rzeczypospolitej i dalej. Spotkasz ich za Dunajem, w Bałkanie, na tesalskich równinach, pod Olimpu górą i nad Bosforu cieśniną, na zakrymskich stepach, w pustyniach Persji i nad rzekami Baktrii, w zakaukaskich obszarach, nad Kaspijskim Morzem i Araksa rzeką, pod Uralu górami, w mandżurskich ziemiach, nad rzeką Amur, w sybirskim bezmiarze, aż het, ponoć po sam Ocean Spokojny. Jeno tu, na *Terra Cosaccorum*, od Ojca Dniepra do Starca Kijowa, nad Porohami i w dawnej Siczy, nie spotkasz ich wielu. A jeśli spotkasz, to takich jak ty, co o sobie samych nie wiedzą.

Znów umilkł, ale jego słowa wciąż rozbrzmiewały pod czaszką Stanisława. Dopełniał je sam nazwami miast, które odwiedził, krain, które przemierzył, szumem rzek, którymi płynął, wonią wiatru wzbijającego pył dalekich stron.

– Rozproszyli nas – podjął ksiądz. – Rozrzucili jak przygarść maku w zawierusze. Naszymi własnymi rękoma zapętlili stryczek na naszą szyję, ukrećili bat na nasze grzbiety – zgrzytnął zębami. – Zdobywaliśmy dla nich cudze ziemie, a oni...

– Kto – szepnął Stanisław.

– Lachy – wycharczał ksiądz.

Umilkli obaj. Stanisław słyszał własną krew w żyłach.

– Dlaczego? – odważył się wreszcie spytać.

– Ha! – zaśmiał się ksiądz. Dziwny płomień rozjaśnił mu twarz. – Bali się.

W garść ująć chcieli żywiół, którego i olbrzym ramionami by nie opasał. I wiedzieli o tym. Byli tacy, co nieraz miecz karzący do grdyk im przystawiali... Oj, drżą Lachy i dziś na dźwięk imienia Nalewajki i Pawluka! Bo cóż się podówczas działo na Ukrainie? Ziemia bujna, ziemia matka, ziemia rodzona! A któż był w niej jutra pewien? Któż szczęśliwy? Któż wiary i wolności nie pozbawion? Jeno królewęża i szlachty garść! Ich to tyrania i uciski przez Żydów czynione o zemstę do nieba wołały! Powstawali Kozacy przeciw opresorom i upadali. Raz i drugi, i trzeci. Ale oto pokazała się kometa, zwiastując gniew i bicz boży! Już Kozacy znali swą siłę, już Rzeczpospolita moc traciła, już był wódz, który mógł wykuć nową, niezwyciężoną Ukrainę! Bo w Kozakach był cały polot pułków Czyngis-chana i Tamerlana! Ale zdradzieckie Lachy wodza kozaczego na arkanie zdławili, gdy się Dzikimi Polami ku Siczy przedrzeć próbował. Król zaś na wyprawę tatarską ruszył, męstwem Kozaków Krym z pohańców oczyścił, potem Bałkan spod jarzma Wysokiej Porty oswobodził! Lecz Kozakom wytchnienia nie dawał, wciąż poszerzać *dominium* Rzeczypospolitej im kazał. I poszerzali, aż... – Urwał na kilka oddechów, ale Stanisław domyślał się reszty. – Kozacy to sokoły Archanioła Michała. Łowili temu, kto na łowy ich wiódł. Gdyby poczęli łowić dla siebie, kto wie, co by wówczas było. Ale łowili dla lackiego króla i ginęli gęsto, a kto przeżył, tego pędzono dalej w podbite ziemie. Dziś w tureckim województwie więcej Ukraińców żyje niżli w kijowskim, a w samym Kijowie jeno Polacy i Żydzi mieszkają! Język ojców ucichł, prawowita wiara odeszła, kozacka swoboda przeminęła, mołojcka sława zaginęła... Takiej to wdzięczności doznało wojsko zaporoskie! I tylko piewcy gawędy i dumki śpiewają Kozakom o tym, czym

oni byli kiedyś, czym mogli być dla siebie, czym mogą być dla świata. Może dumka natchnieniem wykarmi jakiego Kozaka na obcej ziemi i on się stanie Czyngis-cha-nem albo Tamerlanem kozaczym...

Stanisław patrzył na pochyloną głowę księdza. I raptem coś go uderzyło. Tyle było tęskności i smutku w tych słowach, a zarazem tyle potoczystości, że można by pomyśleć, iż nie z serca, a ze sceny płynęły.

Ksiądz podniósł wzrok.

– Teraz wiesz, co chciał ci rzec ojciec? Pojmujesz, czemu respons taki, jakiś mi dał, ugodziłby go jak nożem? Rozumiesz, żeś jest krew z krwi, kość z kości Ukraińcem?

Stanisław przymknął oczy. Wiedział. Pojmował. Rozumiał. I bał się, co będzie dalej.

Ale musiał zapytać.

– Na cóż ja mogę się przydać?

W jednej chwili postać księdza wypełniła się światłem. Porwał Stanisława za ramiona.

– Niechże ci Bóg sekunduje! – zawołał, jakby ubyło mu ze trzy tuziny lat. – Takich nam trzeba! Jeszcze nie wszystko stracone! Ha! Jeszcze są śmiali mołojcy, którzy nie przynoszą przodkom hańby! – Wtem zmarszczył brwi i ścisnął ramiona młodziana tak mocno, że ten aż się skrzywił. – Jest ataman, który powie ci, jak możesz się nam przydać. Ale wtedy nie masz już odwrotu. – Zniżywszy głos, wpił się wzrokiem w oczy Stanisława. – Jeśli się lękasz, mów. Trzeba nam prawdziwych Kozaków.

– Nie boję się – rzucił hardo Stanisław.

– Dobrze zatem – rzucił ksiądz i puścił młodziana. – Teraz wracaj do ojca, a jutro z rana przyjdź do kościoła. Powiem ci, jak dotrzeć do atamana.

Nakreślił w powietrzu znak krzyża. Oczu nie miał już wilgotnych i czerwonych, lecz suche i stalowe.

Ksiądz Łepki dotrzymał obietnicy. Ciało Rostysława Orzechowskiego umyto i odziano, gdy młodzian sprawiał trumnę. Zanim pomyślał o portrecie, stosowną pikture na blasze już wykonano. Był wdzięczny księdzu, choć czuł, że za jego pomocą stoi nie tylko chrześcijańska cnota. Słowa wypowiedziane niemal nad ciałem zmarłego przyniosły Stanisławowi niepokój, który nie pozwalał mu oddać się w pełni synowskim powinnościom.

Dopiero, kiedy słońce poczęło się już zniżać, coś się w nim przełamało. Dotąd rozterka nie opuszczała go nawet podczas modlitwy. Rozstając się z księdzem, myślał, że już postanowił. Ale ledwo wyszedł z kościoła, począł się ze świeżą decyzją gryźć. I dopiero teraz zmógł sam siebie.

Musiał donieść o spisku.

Nie miał wątpliwości, do czego namawiał go ksiądz. Niczego nie powiedziano wprost, ale między słowami i w oczach księdza Stanisław dostrzegł dosyć, by pojąć, o jaką kozacką swobodę szło, kim był ataman i za porywanie się na jakie wyczyny sławę zdobywali śmiali mołojcy. Pierwszy impuls kazał mu zawiadomić władze i położyć kres groźnemu *delirium*. Ale kiedy owionął go chłód ulicy, przebiegł go dreszcz.

Przebywając na rubieżach i w lennach Rzplitej, stracił z oczu rodzinne strony, lecz czytywał lub słyszał o napadach, których nie można było nazwać po prostu bandyckimi. Choćby Merkuriusz donosił ostatnio o napaści na pociąg w ziemiach litewskich, która przyniosła fortunę „armowanym hultajom o złowrogiej eksperencji tudzież inklinacji do wiolencji”. Autor artykułu nie precyzował, kim byli owi „armowani hultaje”, ale podkreślenie ich „złowrogiej eksperencji” zastanawiało. Co jakiś czas donoszono też o bestialskich zbrodniach na mieszkańcach wsi w ziemiach starej Rzplitej, gdzie motywem nie mogła być li tylko chęć zysku. I wreszcie tak wyjątkowy w dziejach polskich zamach na króla. Podczas przemarszu wojskowego koniuszy

zauważył broń wycelowaną w dopiero co koronowanego Włada Multańskiego. Zdążył spać konia, kula trafiła zwierzę. Zamachowca schwytano i zgładzono, nie podając jednak oficjalnie, kim był. Nie we wszystkich wszelako napaściach lała się krew. Stanisław pamiętał o głośnym wykradzeniu dziesięciu więźniów niemal spod samego stryczka. Kim byli więźniowie i czemu warci tak brawurowego oswobodzenia, o tym milczano.

Ale teraz Stanisław przypomniał sobie, o kim ludzie mówili po owych zajściach, czyja zapalczywość i szaleńcza odwaga przychodziła im na myśl, jakie słowo padało już to półgębkiem, już to na głos.

Kozacy!

Uświadomił sobie nagle, że przecież od lat o tym wiedział. A raczej mógł wiedzieć, gdyby tylko chciał, gdyby głębiej zajął się sprawami ojczyzny. Nigdy jednak nie angażował się w poważne dyskusje. Żył sobą i dla siebie. A przecież fakty otaczały go zewsząd. Brakowało tylko bodźca, by oderwane wydarzenia połączyć w całość. Teraz poczuł, jak pozornie różne wspomnienia, niejasne wieści, urwane słowa krystalizują się w spójny obraz. I poczuł, jak ten obraz przywołuje inne obrazy – mroczne, mgliste, rozmazane, ale na trwałe zapadłe w jego pamięci.

Z mrocznych lochów wspomnień dobiegło echo jęków i krzyków. Ujrzał scenę sprzed wielu lat.

Scenę, która rozegrała się na ulicach Kijowa.

Oto idzie z matką i starszym bratem na spotkanie ojca. Jest rześki poranek. Ojciec będzie zmęczony i głodny po całonocnej służbie, matka niesie mu gorący placek z mięsem, który upiekła jeszcze przed świtem. Ale uśmiechy bledną, kiedy zniemacka słyhać wrzask bitych ludzi. Stanisław widzi, jak kilkunastu drabów miejskich, a wśród nich ojciec, wlecze po ulicznym bruku dwóch okrwawionych, wijących się, podpierających się posiniaczonymi kończynami mężczyzn.

Wlecze ich za kiście włosów na ogolonych głowach.

Wkrótce Stanisław przeniósł się z matką gdzie indziej i przestał widywać ojca. Nie pytał nigdy o tę scenę, nie pytał o przyczyny. Dopiero dużo później dowiedział się, że tamte dziwne sploty włosów to kozackie oseledce. Nie przywiązywał jednak do tego wagi. Żył własnym życiem, wpierw ucząc się, a potem wysługując bogatym rodom w najróżniejszych przedsięwzięciach. Czasem nachodziło go pytanie o los rodziny, ale wciąż odkładał je na później. A potem matka zmarła, starszy brat zginął, teraz skonał ojciec.

Nie było już kogo zapytać.

Jednemu nie dało się zaprzeczyć.

Skoro Kozakiem był ojciec, to był nim i syn.

A jeśli tamto okrutne upodlenie rodaków skłoniło Rostysława do przejścia na drugą stronę frontu, to czy upodlenie całego narodu nie powinno skłonić Stanisława do pójścia tą samą drogą?

Młodzian stanął przed obcymi mu wcześniej dylematami. Nigdy nie poświęcał sprawie narodowości większej uwagi. Ot, był Polakiem, czerpał garściami z obywatelstwa Rzplitej, żył dobrze ze wszystkimi. I nagle okazało się, że jest w nim coś, co oddziela go od państwa, w którym mieszkał od urodzenia, jest jakaś rysa na obliczu tej Rzplitej, obok której on, akurat on, nie może przejść obojętnie. Zuchwałe zbrodnie Kozaków napawały go odrazą, ale nowa świadomość, świadomość, że ojciec pragnął, by syn był kimś innym, że Rostysław Orzechowski poświęcił życie dla ideałów innych niżli te, które kierowały Stanisławem Orzechowskim, skonfundowała go i pozabawiła na pewien czas rezolucji.

Też jestem Kozakiem, tętniło Stanisławowi w głowie, kiedy szykował ojca na ostatnią drogę. To takich jak ja wyzyskano, a potem wykorzeniono. Ale czy to czyni mnie bratem morderców? Czy w imię krzywd sam mam krzywdzić? Czy dla niezaszczonej wielkości mam rujnować wielkość innych?

Wreszcie jego targana emocjami twarz okrzepła w wyraz zasepionej determinacji. Choćby Rzplita istotnie nie była bez winy, to nie tak przecież powinno się jej karę wymierzać. Nie morderstwami, zamachami, napaściami! Kim są ci Kozacy, aby się sędziami i katami kreowali? Czemu Bogu sądu i kary nie zostawia? Prawda, że ponure było to drugie oblicze Rzplitej – jeśli ksiądz akuratnie je odmalował. Prawda, że zła nie masz co bronić, krzywd pochwalać, zdradzie przytakiwać, ucisków prawem mianować. Ale któż wie, co by było, gdyby Kozacy spróbowali „wykuć nową, niezwyciężoną Ukrainę”? Któż wie, czy do tej wojny domowej wrogowie nie ciągnęliby jak wilcy do padliny?

Stanisław znał cudze kraje i wiedział, jakie potęgi Azji podbiła, zwasalizowała lub osłabiła Rzplita. Obok, a czasem i zamiast zawodzeń pohańców rozbrzmiewały tam dziś dzwony kościołów i polska mowa. Kto wie wszak, czy i odwrotnie być nie mogło...

Gdyby ojciec żył, Stanisław zdusiłby w sobie te uczucia, zostawił rzecz własnemu biegowi, uchronił ostatniego krewnego. Ale skoro ojca już nie stało, karzący miecz spadnie na innych. Winniejszych.

Musiał działać. I to szybko. *Periculum in mora.*

Urząd starosty był rozległym pałacem wzniesionym na kształt dworu szlacheckiego w cieniu okazałych lip. Środek, wyniosły niczym istny kościół, wieńczyła wieża opatrzona złożonym herbem Rzplitej. Do wnętrza prowadził rozłożysty ganek o szklanych ścianach, których górne szyby złożone były z różnobarwnych szkieł. Po obu stronach rozciągały się dwa piętrowe pawilony, tak długie, że na pierwszy rzut oka trudno było zliczyć okna. Dziedziniec umajały zadbane kwiatowe grządki. Dalej, za skrzydłami pałacu, zaczynały się ogrody.

W jednej z kamiennych kolumn bramy znajdowała się budka odźwiernego. Strażnik machnął ręką. Przemierzywszy dziedziniec, Stanisław wstąpił na ganek. Kancelista poprowadził go w głąb korytarza, na sam kraniec skrzydła, gdzie pod

rzeźbionymi dębowymi drzwiami stał wartownik. Na koniec Stanisławowi dozwolono wejść do środka.

Izba była obszerna, obita drogim jedwabiem w kwiatowy wzór i wyściełana perskimi dywanami. Z portretów srogo spoglądali królowie i hetmani, okna wychodziły na ogrody, gdzie pośród ozdobnych krzewów stały altanki i figury. Za mahoniowym biurkiem powinien siedzieć szlachcic na urzędzie, ale nie siedział. Dopiero teraz Stanisław dostrzegł, że gabinet łączy się z drugą izbą. W tej chwili zgiął się w ukłonie, bo w przejściu ukazał się podstarość.

Człek był to już w latach podeszły, lecz nosił się prosto i z dystynkcją. Miał na sobie srebrno-kwiecisty żupan i altembasowy kontusz – jak na prawdziwego szlachcica przystało – pełnej długości, koloru orzechowego z białą atlasową podszewką, na głowie oklejnoconą aksamitną czapkę z kasztanowatym barankiem i czaplim piórem, na nogach buciki żółte na skórzanych obcasach, na brzuchu zaś pas kontuszowy chiński, z tych, które z jedwabiu tak misternie tkano, że dawały się przez pierścień przeciągnąć. U boku na jedwabnych rapciach nosił lwowską szablę z rękojeścią w srebro oprawną, na palcach zaś grube pierścienie. Wąs zapuścił był tak długi tak, że wokół ucha mógłby go obwinąć, gdyby chciał. Ale nie chciał. Uznawszy najwidoczniej, że już zrobił wrażenie, zarzucił lekko wyloty kontusza, zdjął czapkę, odsłaniając łysinę okraszoną siwymi kępkami, i klapnął na fotel za biurkiem.

– Ponoć z ważkim doniesieniem przybywasz – wskazał Stanisławowi krzesło – przeto *ad rem*.

Młodzian opowiedział, jak to przybył do Kijowa z powodu choroby rodzica i spotkał księdza, który objaśnił mu prawdę o rodzie i instygował do działań na rzecz kozaczyzny. W miarę relacji znudzona fizjonomia podstarościego jęła tężeć, wodniste oczy ciemnieć. Kiedy Stanisław umilkł, zapadła brzemienna napięciem cisza. Tylko wąs kręcony w palcach szlachcica chrzęścił sucho.

Wreszcie podstarość klasnął dłonią o biurko.

– To taki z ciebie Kozak – mruknął z krzywym uśmiechem. – Pobratymców okrutnie zawiedziesz, ale nas ukontentujesz.

Sięgnął do biurka i wyjął plik kart. Szeleścił w nich chwilę, a wreszcie począł czytać:

– Wiek średniego, wzrostu dobrego, postury słusznej, oblicza ogorzałego, oczu czarnych. Osełdec: niesplecion lub warkocz. Wąs na końcach rozczesane. Blizna *in forma* półksiężyca na lewej skroni... Mówi ci coś ta deskrypcja?

Stanisław pokręcił głową.

– To miejscowy watażka kozacki. – Podstarości patrzył bystro na młodziana. – Zwie się Taras. Kozak to okrutnie zadzierzysty, na młode Polki szczególnie zawzięty. Infamia na nim ciąży za okrutne morderstwa, niewiast i dzieci *inclusive*. Jego to hajdamacy napadli na pociąg w Litwie. O tym ostatnim pewnieś słyszał? Niedawno porwali skarbnika, Bóg raczy wiedzieć, zali żyje jeszcze. Takich to zbrodzeni wydała krew ruska. Nie masz z wami spokoju. I to *ab ovo*! Zawszeście skorzy byli paroksyzm na ojczyznę sprowadzić, z nożem na własną matkę się porwać – wycedził przez zęby, lecz zanim Stanisław zdążył się oburzyć, szlachcic zmienił temat. – Może niedługo spotkasz go *personaliter*.

Na obliczu Stanisława musiało się odbić zdumienie, bo szlachcic rozśmiał się w głos.

– A cóżeś myślał, chłopcze? Że przyjdzie sobie Kozak, powie co wie i wróci doma? – Ściągnął naraz brwi, świdrując skonfundowanego Stanisława surowym wzrokiem. – Trzeba czegoś więcej, by dowieść wierności Rzeczypospolitej. Spraw się dobrze, czyń wszystko *pro publico bono*, a miast kontemtu na rewerencję zasłużysz.

Stanisława obudziło stukanie. To słudzy księdza przyszli czuwać nad doczesną powłoką Rostysława Orzechowskiego. Półprzytomny wpuścił ich i myjąc się, próbował ogarnąć rozpierchłe myśli.

Całą noc modlił się nad ciałem ojca, patrząc na oświetlony pełgającymi płomieniami świec konterfekt, ale częścią siebie nieustannie deliberował nad wydarzeniami dnia poprzedniego. Zły był na wszystkich, z sobą i ojcem włącznie, bał się wszystkiego, a najbardziej zadania, jakie wyznaczył mu podstarości. Tego ostatniego nienawidził za okazaną pogardę. Wszystko wrzało w nim na myśl, że ma dowodzić swej wierności Rzplitej. Z jakiej racji? – krzyczał w duchu, klęcząc w blasku gromnic. Cóżże chciał osiągnąć? – pytał ojca. Czemuś milczała? – wołał do wspomnienia matki. Ale pytania, wołania i krzyki pozostawały bez responsu.

Wytarłszy zmęczoną twarz, otworzył okno. Wdychając rześkie powietrze poranka, spoglądał nad złocistymi kopułami kościoła ku ciężkim wodom Dniepru.

– Ksiądz prosi. – Jeden ze sług pociągnął go za koszulę. Stanisław skinął głową, przewdział się i wyszedł.

W kościele modlili się już wierni. Wzbudzając echo podkutymi butami, Stanisław przeżegnał się przed ołtarzem. Jakby znikąd pojawił się ksiądz Łepki i wciągnął go do zakrystii.

– Hasło: Bohdan – mruknął mu do ucha – odzew: Zenobi. Pójdiesz na majdan Wiktorii Stambulskiej. Bacz na mężczyznę w zielonym żupanie. On odezwie się pierwszy. Niech cię Bóg prowadzi!

Pobłogosławił Stanisława i nie mieszkając, wyprowadził. Na pożegnanie jeszcze ścisnął go za ramiona.

– Ojciec podołał, podoła i syn – szepnął.

Stanisław ruszył szybkim krokiem ku majdanowi Wiktorii Stambulskiej. Zwykle lubił to miejsce. Krzyżowały się tu główne ulice miasta, zewsząd ciągnęły tłumy.

Łatwo było w nich utonąć komuś, kto szukał anonimowości. Lecz on musiał być na widoku.

Ponure myśli opadły go niczym sfora zdziczałych psów.

Prowadził oto służby Rzplitej do kryjówki kozackiego watażki. Polscy agenci mieli śledzić go trop w trop, by wkroczywszy we właściwej chwili, ująć zbrodzeni.

Zatrzymał się na skraju majdanu. Nie dlatego, by wysłannik atamana łatwo go wypatrzył; raczej po to, by nie zniknąć z oczu agentom. Zdawało mu się, że czuje na sobie ich wzrok. Nie dojrzał nikogo podejrzanego, ale też zdziwiłby się, gdyby było inaczej.

Nie czekał długo; ktoś trącił go w łokieć. Ujrzał mężczyznę w zielonym żupanie i o ogorzalej twarzy. Nieznajomy nachylił się i szepnął:

– Bohdan!

– Zenobi!

Mężczyzna ruchem głowy kazał Stanisławowi iść za sobą. Weszli w mrowiący się tłum. Kilka razy młodzianowi zdawało się, że już-już traci przewodnika z oczu. Kiedy opuścili majdan po drugiej stronie, poczuł nagle, że nikt już nań nie patrzy.

Niebawem zagłębili się w zaułki. Stanisław rychło zateęsknił za gwarem, który głuszył złe myśli. Przewodnik nie odwracał się, nie odzywał ni słowem. Szedł szybko, bez wahania biorąc zakręty. Wkrótce Stanisław stracił rozeznanie w tej peregrynacji.

Już zdawało się, że będą tak kluczyć do nocy, gdy któryś kolejny zaułek zakończył się schodami, wrzynającymi się krzywo między ruderę o zabitych deskami oknach a kamienny mur obrośnięty zwiędłym bluszczem. Na szczycie schodów czekał pochylony ze starości kościółek w otoczeniu spróchniałych drzew. Z pękatej kopuły dawno zesza farba, spod murów wystrzelały samosiejki. Stanisław pierwszy raz widział to miejsce. Przewodnik podszedł do bocznego wejścia; rozległo się przenikliwe skrzypienie. Puściwszy młodziana przodem, zatrzasnął za nim drzwi.

Stanisław chwilę oswajał oczy z mrokiem. Przed nim coś jaśniało. Ruszył powoli i wszedł do zatechłej, ogołoconej, półmroczonej nawy. Poświata, która go prowadziła, wpadała tu przez brudne szyby świetlików. Stukot butów odbijał się od odartych ścian, powracając niepokojącym echem.

– Bywaj – rozległo się tuż-tuż. Stanisław odwrócił się z bijącym sercem.

Stał przed nim mąż w sile wieku, wzrostu wcale wysokiego, o szerokich ramionach i gibkiej sylwetce. Ubrany był w ciemne hajdawery i białą koszulę z narzuconą niedbale kontuszką. Za szeroki pas zatknął turecki kindżał, na ogromnej głowie nosił futrzaną czapę. Cerę miał ogorzałą, oczy czarne i nieco z tatarską ukośne. Wąs rozchodził mu się przy końcach w dwie szerokie kiście, na lewej skroni widniała półokrągła blizna. Z nieruchomych jego rysów biła srogość, w całej zaś postawie było coś pociągającego i odpychającego zarazem.

– Wiesz, kto ja – bardziej stwierdził, niżli zapytał mężczyzna.

Stanisław skinął głową i spuścił wzrok. Bał się, że czarne oczy atamana mogą wyczytać w jego własnych deskrypcję poznaną u podstarościego.

– Siądźmy. – Taras poprowadził młodziana w kąt sali, gdzie stała rozłamana wpół ława. Stanisław gryzł nerwowo wargi. Spodziewał się, że wnet wrota runą wyważone, a do środka wraz ze snopem światła wpadną drabi miejscy albo dragoni.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał watażka.

Odchrząknawszy, Stanisław odezwał się niepewnym głosem.

– W kościele. Nigdy tu nie byłem, ale...

– To nie kościół – przerwał ataman i zdjął czapę. W półmroku zajaśniała wygolona czaszka z natłuszczonym oseledcem. – To cerkiew. Te ściany zdobiły niegdyś ikony. Już dawno poszły z dymem. Modlili się tu prawosławni. Dziś ich potomkowie to katolicy. Jeśli w ogóle mieli potomków. Wiesz, kto to uczynił?

Stanisław milczał. To nie było pytanie.

– Ostatnia to już cerkiew w Kijowie, której Lachy nie przerobili na katolicki kościół – podjął Taras. – *Sobacza wira!* Szczęściem żadnej nie spalili. Ale po wsiach i w miasteczkach burzyli cerkwie, szacunku nijakiego prawdziwej wierze nie okazując. Nieliczne ocalałe dali katolikom na zbezczeszczenie. Ale są pośród księży tajni popi, którzy nie pozwalają skalać ich do szczeru. – Położył młodzianowi dłoń na ramieniu. – Ty tego wszystkiego nie możesz pamiętać. Ani ja. Ale wiedz, że to, co widzisz dziś w województwie kijowskim, to wszystko bierze się z cierpienia naszych przodków.

Umilkł. Stanisław poczuł, że ogarnia go bezwład. Zezował ku wrotom świątyni i rozmyślał, kto się w nich ukaze. I kiedy.

– Słyszałeś o zamachu na Włada Multańskiego – spytał, a raczej stwierdził ataman. – Wiesz, kto go przeprowadził?

– Kozacy – mruknął Stanisław, kiedy cisza się przedłużała.

– Jako żywo – przytaknął ataman. – A wiesz czemu? Bo jeszcze jako gospodar spalił ostatnie cerkwie na swych ziemiach. Nie zamienił na kościoły, a spalił. Wszystkie.

Stanisław poczuł, jak wzbiera w nim irytacja. Nie na króla. Nie na Lachów. Na watażkę. Może takie opowieści działały na ludzi nienawidzących Rzplitej, ale on był jej synem. W niej się wychował, jej językiem mówił, od niej uzyskał wszystko, co było dobre w życiu. Krzywda krzywda, a ojczyzna ojczyzną. Nie zamierzał zabijać matki. Nawet przy wszystkich jej wadach!

– Kiedyś – ciągnął Taras – brataliśmy się z Lachami i żyli sobie najweselej. Aż przyszli księża i w imieniu Chrystusa Pana podpalili nasz cichy raj, rozlali morze łez i krwi ludzkiej, a sierotom zadali śmierć męczeńską. Niech bisurmanie poczekają, a obaczą, jakie owoce wyda unia bagdadzka. My już brzeską poznali i wiemy: zatrute! – syknął. – Gorzkie i zatrute!

Umilkł, a potem sięgnął pod kontuszkę.

– Czytajże. – Podał młodzianowi zgiętą w czworo kartę. Ten rozwinął papier i wyteżył oczy. Ale to nie pomroka sprawiła, że nie zdołał odczytać tekstu.

– Nie potrafię – potrząsnął głową. – Widywałem to pismo, ale nie umiem go odczytać.

– Nie dziwota. To cyrylica. Niegdyś tak pisano na całej Rusi. Pierwsze druki w cyrylicy powstały nie gdzie indziej, jak w Krakowie. Ale potem Lachy uznali, żeśmy niegodni własnej wiary, mowy ni pisma. I wielu Rusinów nie walczyło do ostatka o swoje. *Hospody pomyluj!* – zawołał i nagle uśmiechnął się do Stanisława. – Ale nie wszyscy. Nie wszyscy...

Schował kartę i wstał.

– Chodź.

Schody były ciemne i duszne. Stanisław wnet pojął, że watażka prowadzi go na wieżę. Kiedy wyszli na wąską galeryjkę, ręce miał pokiereszowane i pokryte pajęczynami, a na głowie guzy.

Owionął ich wiatr. Zmrużywszy odwykłe od światła oczy, Stanisław ogarnął wzrokiem panoramę miasta, rozlewającą się szeroko pod strzępiastymi obłokami. Ale rychło spojrział w dół, wypatrując zbliżających się Polaków. Jeśli ataman odkryje, że to zasadzka, może mnie dźgnąć kindżalem albo strącić, pomyślał i zadrżał. Wąskie uliczki wiodące między porzuconymi budynkami do zapomnianego kościoła były jednak opustoszałe.

– Twój ojciec – zaczął Taras, patrząc w przestrzeń – późno odkrył, co oznacza jego pochodzenie. Ale odtąd z całych sił działał dla sprawy. Wielu dobrych mołojców zawdzięcza mu życie, siła przedsięwzięć dzięki niemu się powiodła. Kiedy umierał, mówił mi, że chciałby, aby syn poszedł w jego ślady. – Obróciwszy się, ujął Stanisława za ramiona. – Właśnie takich jak ty nam potrzeba! Młodych! Rzutkich! Cierpliwość nasza dawno się wyczerpała. Pora odpłacić za pogwałcone prawa, za poniżoną religię i obyczaj upodlon, za wiarołomne zabójstwa, za zniewolenie, za setki lat beze-

ceństw, obraz, uciemnienia! Nigdyśmy nie służyli Lachom jak Żydowinowie i nigdy służyć nie będziemy. Ale im więcej pokoleń mija, tym słabsza jest pamięć o ukraińskiej krwi, o kozackiej sławie, o świętej wierze. A przecież nie masz gorętszej krwi niżli ukraińska! Głośniejszej sławy niżli kozacka! Prawdziwszej wiary niżli prawosławna! Musimy pamiętać! – Palce atamana wraziły się w ciało Stanisława. – Coraz mniej nas jest, przeto tym usilniej musimy walczyć! Psy jezuickie rosną w siłę, przeto tym boleśniej musimy je razić! Trzeba krwi? Damy morze krwi! Trzeba terroru? Uczynimy go piekielnym! Trzeba poświęcić dobra materialne? Nie zostawmy sobie niczego! – wołał coraz donośniej. – Nie wstydzmy się mordów, grabieży i podpaleń! Nie wzdragajmy się przed podstępłą napaścią i brutalną siłą! W walce nie masz grzechu! W swobodzie nie masz wstydu! W sławie nie masz zła! Na ziemi ruskiej wojuje się za wiarę, a nie masz większej mocy aniżeli wiara! Odzyskamy tę krainę i tę wiarę! – Wbił w struchlałego Stanisława przekrwione oczy. – Odzyskamy dla siebie i dla dzieci naszych! Choćby przyszło zapalić każdy dwór szlachecki, zdusić każde gardło lackie, złożyć daninę z własnej krwi i kości, odzyskamy! *Raz maty rodyła!*

Stanisław konwulsyjnym ruchem wyrwał się z kurczowego uścisku atamana. Ten odwrócił się ku miastu. Chwilę stali ramię w ramię, jeden rozdygotany, drugi dyszący przez zaciśnięte zęby.

– Przebacz, jeśli cię przeląkł – mruknął wreszcie watażka. – Okrutny ze mnie gorączka, wiem. Boli mnie dusza, kiedy widzę takich mołojców jak ty. Miałem syna – rzekł, patrząc niby w przestrzeń, a naprawdę w przeszłość. – Uwiodła mi go *Laszka proklata*. Mógł wielkich rzeczy dokonać, a poszedł Lachom służyć. – Splunął i umilkł.

Przez głowę Stanisława z błyskawicową szybkością mknęły tabuny myśli. Gdzie agenci, gdzie dragoni? Z bijącym sercem przemierzał wzrokiem uliczki, lecz nigdzie nie było choćby śladu ludzkiej obecności. Zaciskał dłonie na poręczy galeryjki, kątem oka patrząc to na dziką twarz atamana, to na kindżał za jego pasem. Po cóż zgo-

dziłem się na to zadanie? – desperował. Naraz stanęła mu przed oczyma surowa twarz podstarościgo. W tej samej chwili ataman zwrócił ku Stanisławowi swe równie srogie oblicze.

Trafiłem między młot a kowadło, pomyślał młodzian.

– Konno jeździsz? – spytał watażka.

Stanisław skupił całą uwagę, by mimo konfuzji odpowiedzieć dorzecznie.

– Jeżdżę. Kiedyś próbowałem się nawet z kałmuckimi nomadami...

– To i dobrze. – Taras uśmiechnął się. – Zabierzemy cię w step, wiatrem się spijesz, zgubisz w dali i skozaczysz duszę do końca. Ale najpierw – w jego oczach zamigotały płomienie – musisz dowieść, żeś gotów dorównać przodkom.

Nie oglądając się za siebie, jał schodzić.

Stanisław stał jeszcze bez ruchu, patrząc, jak w niebo pnie się siwy klucz żurawi. Dowieść? Bezsilnie zacisnął pięści. Gdyby mógł uciec, zrobiłby to teraz. Gorzko żałował, że podjął się przedsięwzięcia i popadł w takie terminy. Ale był bezradny. Mógł tylko grać do końca i liczyć, że Polacy zjawią się wreszcie i wezmą Tarasa w łyka. Ostatni raz rzucił okiem na panoramę Kijowa i ruszył w dół.

– Czekaj na Wasyla – mruknął watażka, gdy spotkali się w nawie. Ścisnąwszy Stanisława za ramię, odszedł w mrok cerkwi. Skrzypnęły drzwi, młodzian został sam z myślami. Nie na długo jednak; wkrótce drzwi skrzypnęły ponownie.

– Za mną – mruknął mężczyzna w zielonym żupanie.

Szli zakamarkami Kijowa tak długo, że Stanisława poczęły boleć nogi. Wreszcie dotarli daleko na przedmieście. Tam Wasyl zapłacił jakiemuś woźnicy za podwiezienie do rozstaju. Kiedy wóz odjechał, z lasu wyłonił się kilkusobowy oddział. Bachmaty parskały rzeźwo, rwąc się do drogi. Na czele jechał Taras.

– Na koń. – Wskazał dwa luzaki. Wnet puścili się w skok na wskroś przez pola i gaje.

Stanisław, choć jeździć konno potrafił wcale nieźle, rychło poczuł, że tempo i teren narzucone przez Kozaków są nieomal ponad jego możliwości. Dawno nie siedział w siodle, nie mówiąc już o galopie na przełaj. Raz i drugi zagrała w nim chęć zawrócenia wierzchowca i pomknięcia w las, z powrotem do Kijowa. Ale wiedział, że wielokroć lepsi odeń jeźdźcy doścignęliby go niechybnie. A wtedy... Wolał o tym nie myśleć. Zagryzał tylko zęby i poganiał konia.

Coś jednak w tym pędzie, w tej szalonej jeździe rozbudziło w nim nieodgadnioną tęskność. Już kilka razy cwałował bezkresnymi równinami Azji, czując całym sobą szum nieskończonej przestrzeni, razem z powietrzem stepów wciągając w siebie miłość swobody tak nieograniczonej, dzikiej i bujnej, jak stepy same. Ale to była jeno złuda, bo zawsze czekał nań powrót do zwykłych zajęć. Teraz wszak po raz pierwszy czuł, że mknąc przed siebie, nie musiałby myśleć o tym, co go czeka. Mógłby galopować dla samego galopu, połykać wiatr, zatracić się w tętnie, żyć chwilą, żyć dziko, żyć... prawdziwie.

Jechali długo, aż zostawili za sobą ostatnie ludzkie sadyby. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Wreszcie pokryte pianą i błotem rumaki jęły zwalniać. Oddział zajechał w rozległy chutor. Powitało ich ujadanie psa i ponury Kozak.

– *Sława Bohu.*

– *Na wiki wikiw.*

Chutornik wprowadził konie do stajni, a Kozacy jęli krzątać się po zagrodzie. Tylko Stanisław kręcił się bez celu, starając się zachować spokój. Rozglądał się niby to z ciekawością, a naprawdę ze strachem. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się tylko zapuszczone pola i czarne jęzory lasu. Jak znajdą mnie agenci? – myślał gorączkowo. I czy będą w ogóle szukać?

Mołojcy rozkrzyczeli się wesoło. Wytaczali oto z chaty sporą beczułkę. Ledwo ją postawili, już odbili górne dno, a pierwszy Kozak blaszaną półkwartówką zaczerp-

nał gorzałki. W głębi chutoru rozległ się kwik. Przytarganego za uszy wieprzka raz-dwa zaszlachtowano i poczęto egzenterować. Zanosiło się na długą i hulaszczą noc.

– Ej! – zawołał na Stanisława jeden z mołojców sprawiających świnię. –
A chodźże tu!

Stanisław odetchnął, splunął i podszedł dziarskim krokiem.

– Bebeszże – rzucił mołojec, rzucając mu rzeźniczy nóż.

Jeśli to była próba, to chyba przeszedł ją pomyślnie, bo kiedy umazany krwią oddawał nóż mołojcowi, ten z radosnym rechotem poklepał go po plecach.

Słońce zaszło już, kiedy wszystko przygotowano do hulatyki. We łbach szumiało już mocno, i tylko z Stanisławowego czuba nie dymiło się jeszcze. Ale i nań przyszła kolej.

Pierwszy łyk gorzałki podziałał niczym chluśnięcie żywego ognia. Potem było już tylko lepiej. Im bardziej wydłużały się cienie, tym wyżej strzelały płomienie i tym dalej niosły się krzyki:

– Za wiarę, panowie bratowie, za wiarę!

– Na pohybel Lachom!

– *Trastia ich maty mordowała!*

Chmary gwiazd obsypały nieboskłon. Potem dołączył do nich księżyc. Nikt już nie wiedział, na co i po co pije. W beczce nie zanurzano teraz blaszanek, a łby całe. W blaskach ognisk widniały twarze rozpalone i ręce wyciągnięte w zuchwałych gestach, od lasów echem wracały śmiech i krzyki. Nie było to zwykłe zbiegowisko pijaczyn, których gnębią nieszczęścia. Przeciwnie, całe to ucztowanie przepojone było szaleństwem wesołości. Stanisław dał się upoić i upić, ale nienawykły zaprawiać półsurowego mięsa palanką, raz i drugi wyrzygał wszystko w żar, prowokując gromki śmiech.

A potem ognie jęły przygasać, głosy cichnąć. Jeszcze tu i ówdzie rozległ się śmiech, wołanie czy bulgot, ale wreszcie i to umilkło. Noc cicha i ciemna spowiła okolicę.

Z majaków wyrwał Stanisława wstrząs i przejmujący chłód. Zachłysnął się, otworzył oczy i ujrzał wiadro. Wtem poczuł drugi kopniak.

– Wstawajże! – rozległo się warknięcie.

Stanisław spróbował podnieść się na łokciu, ale rękę miał zdrętwiałą. Obrócił się na drugi bok. Dopiero wtedy zdołał trochę się podźwignąć i rozejrzeć.

Wydarzenia poprzedniego dnia wróciły doń w jednej chwili. Oto leżał w kałuży wody przy popiołach ogniska. Opodal leżały świńskie resztki i przewrócona beczka. Z twarzy Kozaków kręcących się tu i tam znikła wesołość, z ruchów zuchwałość. Z nieba zwieszały się ołowiane chmury.

– Nuże, wstawaj! – Ktoś znów kopnął Stanisława. Ten zaklął i odwrócił się, ale mołojec już odchodził. Walcząc z opornym ciałem i zawrotami głowy, Stanisław powstał chwiejnie, ocierając mokrą twarz. Czaszka zdawała się pękać mu na dwoje.

Wtem od strony chaty dobiegł krzyk. Było w nim tyle bólu i umęczenia, że młodzian aż skulił się w sobie. Po chwili krzyk ustąpił jękiem.

Przechodzący Wasyl szturchnął Stanisława w plecy, aż ten ledwo ustał na nogach.

– Piłeś całą noc, a wytrzeźwiejesz wnet! – zarechotał.

Naraz z chaty wyszło dwóch Kozaków, wlokąc spętanego człowieka. Stanisławowi serce podeszło do gardła. „Piłem całą noc, a wytrzeźwieję wnet” – powtórzył bezwiednie.

Jeniec wylądował o kilka kroków od młodziana. Był to chudy mężczyzna w poszarpanym teraz i brudnym, lecz niegdyś wystawnym żupanie. Twarz i ręce pokrywały mu szerniałe skrzepy. Jego udręka trwać musiała od dawna.

Ciężka dłoń spoczęła na ramieniu Stanisława.

– Już czas. – To był Taras. – Dowiedz, żeś godzien przodków. Oto Lach, wraży syn, ciemżyciel i oprawca. My już mu odplacili. Teraz odpląże mu ty. A potem mołojcy wezmą cię w step jako prawdziwego Kozaka. – Wsunął zmartwialemu Stanisławowi w rękę piękną, lekką czeczugę. – *Zakoli joho!*

Fala lodowatego zimna przemierzyła młodziana od stóp do głów. Wytrzeźwiał w okamgnieniu. Patrzył na sponiewieraną ludzką powłokę. Czuł w dłoni ciężar szabli. I desperacko chciał być gdzie indziej.

– Jeden cios – mruknął watażka.

Stanisław zacisnął dłoń na rękojeści. Gdyby tak odwinąć się i ciąć atamana, a potem dopaść koni... Albo wypuścić szablę i pokręcić głową... Rezultat będzie ten sam. Bo przecież nie zdoła, zwyczajnie nie będzie umiał ciąć tego dogorywającego w popiele człeka...

Wtem zatętniły kopyta.

– *Lachy! Lachy idut!*

Kozak wpadł w obejście i zeskoczył z konia przed atamanem.

– Silny podjazd dragoński idzie od północy!

– Widzieli cię?

– Nie, *bat'ku!* Ale rychło tu będą!

Taras spojrział podejrzliwie na Stanisława. I w tej chwili podejrzenie zmieniło się w pewność.

W twarzy, w postawie młodziana nie było już zagubienia, nie było strachu. Podniósł głowę wysoko, a hardy wzrok na atamana. Jakieś nowe uczucia grały mu w ser-

cu. Wiedział, że zaraz zginie. Ale wiedział też, że nie będzie to śmierć w upodleniu. To będzie śmierć zwycięzcy.

Już napinał mięśnie, by ciąć okrutnie szablą, kiedy ujrzał lufy bandoletów. Coś, może instynkt, kazało mu wstrzymać rękę.

– W konie! – krzyknął watażka i wyrwał jednemu z mołojców bandolet. Sam stał i patrzył nieruchomo na Stanisława.

– Myślisz, że Lachy ci pomogą? – zapytał cicho.

Młodzian uśmiechnął się szyderczo.

– Nie. Ale i wam nic już nie pomoże!

– Twój ojciec przewraca się w trumnie! – syknął nagle Taras.

– Przewracałby się w trumnie, gdybym zabił tego nieszczęśnika – wybuchnął Stanisław. – To jest ta kozacka swoboda? Mołojcka sława? Prawdziwa wiara?!

Świat się zatrząsł. Kułak watażki smagnął młodziana w twarz, aż ten się zatoczył. Kiedy smuga mroku przemknęła, wznosił dłoń do cięcia, lecz po to tylko, by przekonać się, że jest pusta.

Ataman trzymał teraz i bandolet, i czeczugę.

Stanisław począł dygotać. Krew odpłynęła mu z odrętwiałego oblicza. Gdzieś zniknęła jego szalona duma. Z całą zgrozą uświadomił sobie, że zaraz zginie. Pokonany.

– Twój ojciec – warknął watażka – zachorzał śmiertelnie przy porwaniu kijowskiego skarbnika. – Plunął na jeńca siarczyście. – Miał wyżyć, żeby nie padło nań podejrzenie. Ale zbyt głęboko ciąłem szablą. Ot, tak!

I z tymi słowy ugodził Stanisława w pierś.

Ból był straszny, lecz jeszcze straszniejszy był błysk, który przeszył jestestwo młodziana. Padł na kolana, spuścił głowę i patrzył ze zdumieniem, jak między czerwienią krwi przebłyskuje biel kości.

– Wiareś zdradził. – Słowa Tarasa jakby echo niesło z oddali. – Towarzyszyś zdradził. Własnąś krew zdradził. Nie zasługujesz, by płynęła w twych żyłach. Tak samo jak w żyłach mego syna. Ale on umierał z czyimś imieniem na ustach. Z czyim imieniem umrzesz ty?

Świat przekrzywił się i znów zatrzęsł. Tym razem smuga mroku nie przemknęła od razu. Kiedy Stanisław otworzył wreszcie oczy, ujrzał płataninę końskich pęcín. Zebrał się w sobie i wyteżył wzrok.

Kozacy odjeżdżali.

Przez chwilę – a może wiele chwil, Stanisław nie potrafił określić – w chutorze nie działo się nic. Tylko chłód począł narastać, mrok tężeć i znikąd pojawił się szum. W głowie młodziana obracały się wciąż te same obrazy: sroga twarz atamana, surowa podstarościego, napięta księdza, nieruchoma ojca – coraz bardziej mgliste, coraz bledsze...

Raptem ziemia zadygotała, a przez szum przedarł się tętent kopyt. Stanisław podniósł ciężkie powieki.

Przybywali Polacy!

Otwierał usta, kiedy dygot i tętent spotężniały, a las pęcín rozpostarł się i utonął w mroku.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki
w dobrej cenie

www.rw2010.pl